

JAK WIDZĘ CHRZEŚCIJAŃSTWO, JAK WIDZĘ KOŚCIÓŁ?

Kościół postrzegam jako instytucję, która jest – według mnie – fenomenem. Opiera się on na niezmiennych od dwóch tysięcy lat prawdach i jest chyba jedyną taką instytucją. Egzystuje na zasadzie sprzeciwu. W krajach naszego bloku do Kościoła przyciąga ludzi fakt, że głosi on prawdy inne niż socjalizm. Kościół zapładnia bardzo wielu – przedstawiciele literatury, malarstwa i różnych dziedzin sztuki.

W rozmowie na temat Boga mówiłam, że nie mogę przyjąć trzech prawd, na których opiera się Kościół. Poza tym odstręczają mnie chrześcijanie. Jeżeli człowiek uznaje, że wierzy, powinien podporządkować się wymaganiom stawianym przez Boga. Tymczasem słyszę: *Wierzę, ale jestem niepraktykujący*. Można więc pytać: Wierzący, ale jak? Wielu nie widzi sprzeczności w tym stwierdzeniu.

„Bóg tak chciał”, twierdzi się w przypadku zaniedbań. W ten sposób pocieszano ludzi, którym w górach spalił się dom. Tymczasem jedynym piorunochronem był obrazek Matki Boskiej wystawiony w oknie. Podobnie uspokajano matkę, której córka zginęła wskutek ewidentnego zaniedbania tejeż matki.

Irytuje mnie również kwestia modlitwy. Chwila modlitwy jest bardzo często potrzebna ludziom do usprawiedliwienia własnego postępowania. Wypadałoby być może zapytać: a może nie mam racji?

Kolejny problem to spowiedź. Ludzie uspokajają się po otrzymaniu rozgrzeszenia, a pięć minut później postępują jak dawniej.

Ponadto odpychają mnie różne przejawy fanatyzmu, dewocji, zaślepienia. Słyszę narzekania na księży w związku z celibatem, sprawami finansowymi... Nie zawsze spełniają oni swoje zadania.

Rażą mnie niekonsekwencje, ich nagminność, także w historii. Kościół zdobywał swoją pozycję niezgodnie z głoszonymi zasadami (inkwizycja, majątki, tępienie poglądów niezgodnych z głoszonymi przez niego prawdami).

Raz jeszcze powtarzam, że instytucja Kościoła imponuje mi istnieniem przez wiele stuleci, a także tym, że jego przedstawiciele próbują realizować ważne zadania. Episkopat Polski budzi szacunek pełnymi godności rozmowami z naszymi władzami.

*Informatyk
(zapis rozmowy)*

W jakiejś mierze odpowiedziałam na postawione pytanie, mówiąc o Bogu, liturgii i Biblii. Dodam tylko, że chrześcijaństwa nie uważam za religię, ale za nurt humanizmu. Cenię człowieczeństwo Boga, ideę miłosierdzia. Według mnie, chrześcijańskie miłosierdzie to rozwinięcie dekalogu; inne kwestie mniej mi odpowiadają. Idea poświęcenia się za kogoś jest – w moim rozumieniu – niezdrowa.

Judaizm także nie jest religią, zbiorem prawd. Drogi judaizmu i chrześcijaństwa rozeszły się, gdy zaistniał pro-

blem prozelityzmu po zburzeniu świątyni. Echem tych wydarzeń jest np. negatywny stosunek mojej matki do „wychrzczonych”. Ojciec patrzy na te sprawy sceptycznie, a ja żywo reaguję na nietolerancję.

Jeszcze słowo o Papieżu. Podczas pierwszej wizyty miałam dobre przeżycie, później nastąpiła deprecjacja symboli religijnych. Przykład: Matka Boska w klapie.

Można oczywiście spierać się o wiele, są jednak sprawy ponadczasowe – miłosierdzie i humanizm.

Thumacz

Chrześcijaństwo jawi mi się jako społeczność ludzi chcących sobie wzajemnie pomagać. To nie jest spostrzeżenie człowieka wiary. Wiara mi się gubi. Zastanawia jednak trwanie Kościoła przez wieki. Coś w tym musi być, jeżeli przetrwał tak długo: albo istnieje Bóg i On jest twórcą Kościoła, albo istnienie tej instytucji można uzasadnić ważnymi potrzebami ludzi.

Przez wiele lat nie dzieliłam ludzi na wierzących i niewierzących, a kontakty z nimi miałam normalne. Z Kościołem instytucjonalnym spotkałam się dzięki katolickiej uczelni, gdzie studiuje. Dobrze czuję się w towarzystwie katolików – kolegów i koleżanek. Zauważam, że są nastawieni na służenie ludziom – tego chcę się od nich nauczyć. Pewnym szokiem były dla mnie kontakty z księżmi-wykładowcami czy ludźmi z administracji. Doświadczyłam, że oni też są słabymi ludźmi i potrafią być nieprzyjemni.

Ze względu na studia zetknęłam się z Biblią. Wyjaśniło mi się wiele rzeczy związanych z chrześcijaństwem. Sta-

ry Testament – poznany we fragmentach – traktuję jako pewien zapis dziejów. Nie wnikałam jednak dogłębnie ani w Biblię, ani w historię Kościoła i na te tematy trudno by mi było mówić.

Nie doświadczam potrzeby modlenia się w kościele, może dlatego, że nie widzę potrzeby wspólnej modlitwy. Sądzę, że jeżeli człowiek modli się do Boga, nie musi szukać miejsca zwanego kościołem. Ale tutaj biorę pewną poprawkę! Miejsce to może być ważne dla określonej społeczności. Być może kontakt społeczny stanowi inną jakość kontaktu, a wspólna modlitwa szczególną wartość.

Zastanawiam się wszakże, w jakim stopniu społeczność jest pomocą lub przeszkodą w przeżywaniu wiary. W moim rozumieniu religia to sprawa indywidualna.

Dostrzegam funkcję społeczną Kościoła w Polsce. Wchodzi on mocno w sprawy kraju, także polityczne.

*Studentka filozofii
(zapis rozmowy)*

Wydaje mi się, że o ile pierwszego człowieka Bóg ukształtował na swoje podobieństwo, to przez następne tysiąclecia działa proces odwrotny i każdy człowiek usiłuje traktować Boga, wiarę, religię na podobieństwo własne. Od mądrości człowieka jako jednostki i od mądrości ludzi jako zbiorowiska zależy interpretacja tego, co zostało dane jako zdumiewająco zwięzła synteza i dlatego zawsze wymagało, aby mędracy wykładali je maluczkim. Od mądrości i serca kapłana zależy to, jakich słów użyje, a od

mądrości odbiorcy, które z tych słów usłyszysz; czy będą to tylko przelotne fale, czy głębsze wartości.

Im trudniej żyć, im mniejszy staje się człowiek w obliczu codzienności, tym bardziej poszukuje autorytetu. Im bardziej zaskakujące i wstrząsające wydarzenia dzieją się wokół, im silniej zachwiana bywa codzienność (polityczna, gospodarcza, ideologiczna – każda), tym bardziej potrzebne jest oparcie na wartościach, może nawet nie zawsze zrozumiałych (dla niektórych wręcz niepojętych), ale niezniszczalnych.

Ponadczasowość, siła przetrwania, niezmiennosc najgłębszych zasad (a zarazem często umiejętna ingerencja w doczesność), nastawienie na przyszłość, a nie teraźniejszość stanowią siłę autorytetu, do którego człowiek stale wracał i wraca po wszystkich kolejnych okresach ateizmu.

Właśnie ciągłość trwania, umiejętność odnajdywania w człowieku jego dobrych stron, znalezienie sposobu na ukazanie mu nieprzemijających wartości, czyni chrześcijaństwo stale atrakcyjnym. Jeśli Kościół, obecnie już bez przymusu i bez stosowania agitacji, potrafi zgromadzić wokół siebie wielu wartościowych ludzi, zainspirować ich do niezwyklej, ofiarnej działalności, jeśli nawet w skomputeryzowanej epoce może dać człowiekowi baśń o wiecznym szczęściu (zupełnie taką samą jak w średniowieczu), to uważam, że chrześcijaństwo jest i pozostanie potęgą. Jednak, według mnie, na bazie: ludzie ludziom i człowiek człowiekowi.

Wydawca

Chrześcijaństwo to otaczające nas morze. Wyrosłem i żyję na jego brzegu, nie w nim. Mój stosunek do niego nie jest ani chłodnym przyglądaniem się uczonego, ani swobodą ryby, która do tego stopnia czuje się w swoim żywiole, że na ogół nie pamięta o wodzie. Jestem raczej płetwonurkiem, który w morzu nie mieszka, ale kocha ten żywioł, nie najgorzej go zna i wręcz potrzebuje zanurzenia się w nim (*żeby się potem dobrze wytrzeć ręcznikiem* – dodaje złośliwie moja żona). Tak oto mógłbym podsumować moje nastawienie do chrześcijaństwa.

Słowa „chrześcijaństwo” używa się w wielu znaczeniach: jako wiarę wyróżnioną swym *credo*, jako zasady moralne z praktyczną filozofią życia, wreszcie jako cywilizację i kulturę liczącą ponad dwa tysiące lat (a korzeniami jeszcze starsze). Na postawione pytanie najłatwiej odpowiedzieć w aspekcie kultury i cywilizacji: po prostu wyrosłem w ich otoczeniu, one dostarczyły mi pojęć i obrazów do interpretowania postrzeganej rzeczywistości, z nich wyrosły dzieła sztuki, które nie tylko budzą mój zachwyt, ale – co ważniejsze – pomagają mi znaleźć odpowiedź na moje pytania i problemy.

Spróbuję trochę dokładniej opisać, czym jest dla mnie chrześcijaństwo rozumiane jako wiara i filozofia praktyczna. Chociaż nie jestem chrześcijaninem, jest mi ono najbliższe spośród wyznań, mimo że podobne zasady moralne i uznanie ważności pierwiastka nadprzyrodzonego znajdujemy także w innych religiach. Zapewne więc na mój wybór decydująco wpłynął fakt, że żyję wśród chrześcijan. Jest jednak w chrześcijaństwie kilka elementów, którymi wybór ten mogę uzasadnić i powiedzieć, że pryncypia te WYZNAJĘ.

Z konieczności ograniczę się do ich wymienienia. Pierwszy – to przyjęcie miłości (a nie np. sprawiedliwości czy obowiązkowości) za najważniejszą zasadę organizującą życie. Drugi – to wiara w sens doznanego cierpienia, uzasadnienie jego wartości nie tylko nagrodą po śmierci (w tę nagrodę akurat uwierzyć mi najtrudniej), ale udziałem w dziele zbawiania ludzkości. Trzeci – to wolność, do której ma prawo każdy człowiek według chrześcijaństwa; wolność zdolna wyprowadzić nas z ograniczeń i kolein, w które wciskają nas zewnętrzne nakazy i zasady tzw. dobrego wychowania; *Soli Deo*, które usprawiedliwia i nieraz nakazuje, aby stać się głupstwem dla świata; wreszcie – przyznanie indywidualnemu sumieniu niezwykle wysokiej rangi: prawa i obowiązku rozróżniania między dobrem a złem.

Wszystkie te elementy spina klamrą osoba Jezusa, dla chrześcijan – Chrystusa. W wyjątkowość Jego roli potrafię uwierzyć, chociaż z pewnym trudem (źródła historyczne, nie tylko w tej kwestii, uważam za bardzo niepewne). W Jego jedyność jako Zbawcy, tzn. w to, że wszelkie zbawienie jest z Niego i w Nim, uwierzyć mi już bardzo trudno i np. gdy mówię „Baranku Boży”, to na równi z ofiarą Krzyża myślę o milionach ludzi, którzy oddali życie – lub tylko je stracili – w cierpieniu (włącznie z kilkoma osobami z mojej rodziny). Mam wobec nich świadomość długu nie do spłacenia, bo w nich i na nich wyrosło całe nasze życie.

Natomiast łączenie dzieła zbawienia w Trójcy z dziełem stworzenia wszechświata wydaje mi się – niech mi to wybaczy chrześcijański czytelnik – zbyt daleko idącym antropocentryzmem.

Kościół katolicki to wspólnota, do której wprawdzie w pełni nie należę, ale z jej działalnością identyfikuję się w wysokim stopniu. Już kilkanaście lat temu włączyłem się w działalność kilku grup katolików, z dwiema spośród nich związany jestem do dziś. Łączą nas pryncypia moralne i cele, jakie sobie stawiamy na ziemi. Różni nas stosunek do Boga, ale nie diametralnie. Chrześcijaństwo jest mi na tyle bliskie, że współodczuwanie z nimi jest naturalnym sposobem bycia (odnosi się to również do – niepełnego z konieczności – udziału w liturgii). Jeśli idzie o stronę intelektualną, to trzeba odróżnić intelekt rozumujący od zmysłu rzeczywistości. Tylko w tym drugim aspekcie widzę zasadnicze różnice w naszym stosunku do spraw nadprzyrodzonych.

Chociaż nie z każdą tradycją Kościoła mogę się zgodzić i bywają decyzje hierarchii, których nie akceptuję, to widzę w Kościele potężną siłę twórczą, która nie tylko posuwa nas naprzód (tym zajmuje się również kilka innych sił społecznych i politycznych), ale też nadaje właściwy kierunek temu, przynajmniej w ogólnych zarysach.

Fizyk

Chrześcijaństwo jest religią skierowaną ku ludziom oczekującym równości i sprawiedliwości społecznej. Takie założenie w obecnych czasach realizuje jedynie nieznaczny odłam Kościoła katolickiego, m.in. jego przedstawiciele związani z teologią wyzwolenia.

Natomiast Kościół w rozumieniu kadrowym coraz bardziej odchodzi od chrześcijaństwa. Kościół wyalienował

się z religii, za którą jest odpowiedzialny, i pozostawił ludzi sobie samym. Zbyt wiele jest przypadków wskazujących na to, że ludzie z hierarchii Kościoła milczeniem pokrywają niesprawiedliwość społeczną, a nawet – co odstręcza wielu od Kościoła, a w konsekwencji od religii chrześcijańskiej – biorą udział w nagannych moralnie praktykach, np. gdy ksiądz, zobowiązany do zachowania celibatu, zachowuje się inaczej. Podobnie, gdy biskupi zajmują się walką polityczną w trosce o swoje interesy materialne bądź gdy dobra doczesne są dla nich ważniejsze od spraw, na straży których zostali postawieni. Zastanawiam się ponadto, czy Pan Bóg musi mieszkać w cegle, a ludzie w betonie? Co przemawia za tym, żeby kościoły były budowane z o wiele lepszych materiałów niż przedszkola dla dzieci? Jest to naganne moralnie.

Byłem chrześcijaninem, ale wiara prysła jak mydlana bańka z powodu poznanych przypadków amoralnego zachowania się kleru, a poza tym ze względu na brak przekonującej argumentacji na rzecz wiary. Obecnie najwyższą wartością dla mnie jest człowiek i jego szczęście. Wartości tych nie znajduję w chrześcijaństwie.

Dziennikarz

Oba pojęcia – chrześcijaństwo i Kościół – są ściśle związane ze sobą.

Chrześcijaństwo postrzegam jako dobro dane ludziom na wyrost, z którego bardzo trudno korzystać, Kościół natomiast jako organizację, która przekazuje dobro ludziom wedle swojego i ich poziomu oraz sytuacji.

W moim odczuciu, z chrześcijaństwem i Kościołem jest podobnie jak z ideologiami społecznymi i władzą, która chce je wcielić w życie. Jeśli w sposób administracyjny wprowadza się idee, które są dla ludzi i mają im służyć, stają się one czymś bolesnym, niedobrym i budzącym sprzeciw.

Wprowadzanie dobra, zakorzenionego w miłości Boga do człowieka, musi wychodzić naprzeciw potrzebom człowieka i być przekazywane z całym szacunkiem dla jego osobowości; choć z drugiej strony musi być odporne na destrukcyjne działanie, tkwiące w naturze ludzkiej.

Odrzucanie lub zwalczanie Kościoła, a niekiedy też samego chrześcijaństwa, ma różne podłoża: religijne, polityczne, może wynikać z głupoty lub walki z dobrem czy humanizmem, ale bywa, że wypływa ze sprzeciwu wobec praktyk Kościoła. Moje osobiste doświadczenia, dobre i złe, są tego przykładem.

Spotykałem starych (w oczach dziecka), dobrodusznych proboszczów wiejskich, mądrych wiekiem i doświadczeniem, oraz wikarych – nauczycieli wiary, którzy wywoływali opór nieumiejętnym nauczaniem i stawianiem wymagań, a jeśli przy tym nie umieli uszanować cudzej odrębności czy osobowości, przegrywali – być może kłeska bywała obopólna.

Patrząc szerzej, postrzegam chrześcijaństwo i Kościół w roli głównego powstrzymującego dehumanizację świata, a więc w podobnej roli, jaką w innej dziedzinie spełniają idee egalitaryzmu czy państwa opiekuńczego – niezbędne do utemperowania i ucłowieczenia materialnej sfery życia ludzi. Mój opór w stosunku do Ko-

ściola wynika z obawy, że będzie zbyt dosłownie przyjmował rolę pasterza. Powinien być i czuwać, ale z dystansu, a wkraczać w codzienność tylko w sprawach dra-
stycznych. Sądzę, że Kościół w Polsce podąża tą drogą, a jeśli osobowość ludzi Kościoła bywa nieco inna, to myślę, że każdy z nas ma prawo do bycia sobą. Będąc inżynierem, nie mam przygotowania do pełniejszej wypowiedzi, stąd ograniczoność mojego spojrzenia i lakoniczność odpowiedzi.

Inżynier

Odpowiedź, jaka się spontanicznie narzuca, jest dla mnie samego zaskoczeniem. Kościół jest moim środowiskiem, domem, w którym wzrastałem i nieustannie uczę się życia. A dodam od razu, że nie mam domu rodzinnego. Ten, w którym się urodziłem, już rozebrano około dziesięć lat temu i na jego miejscu pobudowano inny. Ten, w którym spędziłem dzieciństwo, a rodzice mieszkali niemal pół wieku, przebudowano i jest własnością obcych ludzi. Żadnego miasta nie mógłbym nazwać moim rodzinnym. Chciałoby się powiedzieć: kompletny brak zakorzenienia. A jednak jest coś, co spaja wszystkie miejsca mojego zamieszkania. Wszędzie było chrześcijańskie wra-
stanie i zapewne głównie dlatego wszędzie mogłem czuć się jak u siebie w domu. Chrzest w Grudziądzu, pierwsza spowiedź i Komunia święta oraz sakrament bierzmo-
wania w Rościszewie w diecezji płockiej, przyjęcie kapłaństwa w katedrze w Płocku, pierwsze śluby zakonne w Kaliszu, ostatnie – w Warszawie. Między tymi wydarzeniami były krótsze lub dłuższe etapy formacji albo pracy

duszpasterskiej. Przede wszystkim codzienna lub niemal codzienna Msza św., a wraz z nią swojski klimat – właśnie jak w domu.

Po takim określeniu mojego widzenia chrześcijaństwa i Kościoła, znalazłem informację w niemieckim katechizmie dla dorosłych, że słowo *Kirche* (Kościół) pochodzi od greckiego *kyriaké* i znaczy „dom Pana”. A więc dom Pana, Jezusa Chrystusa, jest moim domem, gdyż i ja, chrześcijanin, do niego należę. Wszystko jest nasze, my zaś Chrystusa, a Chrystus Boga (1 Kor 3,23). Jeden wielki dom i jedna wielka rodzina. Dokument ostatniego soboru dopowiada: Lud Boży zjednoczony jednością Ojca, Syna i Ducha Świętego („Gaudium et spes”, nr 1). Taką wizję Kościoła uznaję za własną.

A wymiar historyczny? W nim dostrzegam instytucję liczącą już niemal dwa tysiąclecia. Podziwiam razem z R.W. Bensonem, konwertytą, trwanie dynastii rybaka Piotra, podczas gdy wiele królewskich dynastii w różnych krajach przeminęło. Przede wszystkim jednak widzę chrześcijaństwo i Kościół w perspektywie dziejów zbawienia, głównie w perspektywie Starego i Nowego Testamentu – przygotowanie, zapowiedź i spełnienie, które stało się za sprawą Chrystusa. Następnie imponujący pochód dziejowy względnie wzrost Królestwa Bożego na ziemi i ogromny wpływ na dzieje krajów i narodów, na ich kulturę. Ale też boleję z powodu rozdarcia i całego zła w historii oraz obecnie, wewnątrz Kościoła i na zewnątrz – w świecie, którego Kościół nie potrafił przemienić tak, jak tego pragnął jego Założyciel. On jednak jest w Kościele i sprawuje misję zbawienia – przez Dobrą No-

winę, sakramenty, a szczególnie przez nieustannie powtarzaną Ofiarę – Mszę św.

Już nie tyle widzę, ile wierzę, że Jego Kościół będzie istniał do końca naszego świata, spełni dzieło zjednoczenia i zbawienia.

Ksiądz